

Rozmowa z Jolą Jarosz-Hryniewicz o jej życiu w Zalesiu Górnym

Droga Dzików i sąsiedzi

Jesienią 1952 roku, wraz z moimi rodzicami, Edwardem i Krystyną Jarosz, przeprowadziliśmy się ze wsi Budziszyn do Zalesia Górnego. Budziszyn to rodzinna wieś mojej mamy, w parafii Drwalew (między Grójcem a Górą Kalwarią). Początkowo zamieszkaliśmy w domu brata mojej babci ze strony matki, Jana Płatka. Ten dom, niewiele zmieniony, stoi do dziś przy Drodze Dzików nr 36. Dlaczego zamieszkaliśmy w Zalesiu (a właściwie na Jesówce)? Nasz kuzyn obawiał się, że jego dom pójdzie pod kwaterunek, więc zaproponował mojemu ojcu, który właśnie wrócił z wojska i nie miał gdzie się podziać z rodziną, wynajęcie pokoju z kuchnią. Dwa lata od przeprowadzki urodziła się moja siostra Hania, mieszkaliśmy więc we czworo w tym jednym, zimnym pokoju z kuchnią. Niewielki dom, zbudowany na planie kwadratu, współdzieliły wtedy cztery rodziny. Obok nas mieszkał Walenty Kołaciński z żoną Honorką, która była naszą kuzynką. Z tyłu domu mieszkała pani Gołębiowska z synem Leszkiem, nieco starszym ode mnie, oraz państwo Dąbrowscy z synem Andrzejem, zwanym Miśkiem i córeczką Bożenką.

Misiek był w moim wieku, a ich córka była rówieśnicą mojej siostry.

Pan Dąbrowski był szewcem. Lubiałam do nich chodzić. W małej kuchni był też jego warsztat. Nie mam pojęcia, jakim cudem się tam mieścili. W pamięci mam taki obrazek: pani Dąbrowska stoi przy kuchni, coś gotuje... Na stołku szewskim, z siedziskiem ze skórzanych pasków, siedzi pan Dąbrowski i robi buty. Pachnie klejami i skórą. Pod ścianą stoi stół, na stole ja z Miśkiem gram w „Grzybki” (tę grę planszową można kupić również dziś). Pamiętam, że Misiek miał zawsze ładne, dobrze podzelowane buty, tzw. trzewiki. Przychodził i nie pukając, kopał w drzwi i tak wywoływał mnie „na zabawę”.

Bawiliśmy się całe dni na podwórku i ulicy wszyscy razem, to znaczy ja, jedyna dziewczynka, z gromadą chłopaków – Miśkiem Dąbrowskim, Leszkiem Gołębiowskim, Zbyszkim Kołacińskim, zwanym Ryśkiem i Ryśkiem Bulskim. Razem odkrywaliśmy okoliczne laski, rowy i mokradła. Już



Jola z dziadkiem



Młoda Jola z mamą

wtedy mieszkańcy ulicy Dzików mówili, że mieszkają w Zalesiu. Ze zdziwieniem więc dowiedziałam się, że ta strona ulicy, końcówka ziem gospodarzy z Jesówki, to formalnie inna wieś. Te pierwsze lata w Zalesiu, to lata dzieciństwa, które wspomina się z sentymentem. Pamiętam też zdarzenia, nie zawsze rozumiane przez dziecko, jak wielką radość mieszkańców, stojących na ulicy i bijących brawo na wieść o śmierci Bieruta. Mam takie poczucie, że była wtedy większa bliskość między mieszkańcami, większa bezinteresowność i troska o życie sąsiadów. Nam szczególnie okazywali ją Państwo Bulscy.

A czasy były siermiężne, ledwie kilka lat po wojnie, o której się nie wspominało. Pamiętam ciężkie zimy z 30-stopniowymi mrozami. Pamiętam również zamrożone drzwi wejściowe, obite warkoczem ze słomy, które ojciec otwierał, odrąbując siekierą lód. Tylko ojciec pracował i jego pensja musiała starczyć na cały miesiąc. Po wypłacie przynosił na osłode landrynki, a mama piekła ciastka ze skwarek i gotowała kisiel. Za jedną z pierwszych pensji, ojciec kupił radio lampowe i ma-

ma włączała je na audycję dla przedszkolaków. Do dziś pamiętam jej sygnał. Mama nie pracowała, bo ciężko było znaleźć pracę, a poza tym, nie miała co zrobić z małymi dziećmi.

W Zalesiu funkcjonowało, przy ulicy Przebudzenia Wiosny, małe przedszkole, (w późniejszym budynku ośrodka zdrowia), ale niewiele dzieci mogło z niego korzystać. Chodzenie do przedszkola pozostawało w sferze marzeń.

Do dziś mam w pamięci obraz ulicy Dzików, wtedy prawie całego naszeo, dzieciennego świata. Po prawej stronie ulicy Pionierów był młody las, jesienią pełen podgrzybków. Otaczały go piaszczyste drożki, a jedynie nasza droga była w miarę szeroka. Wozacy tą drogą docierali do przedłużenia obecnej ulicy Pionierów, czyli ul. Źródlanej, wtedy również piaszczystej drogi, porośniętej krzywymi wierzby, którą jeździło się do Jazgarzewa. Od niej był

przejazd do Zalesia Dolnego, (ul. Dworska), po drewnianym moście nad Jeziorką. Po stronie lasu był tylko jeden, drewniany domek pani Szałowskiej. Ekscytował nas fakt, że miała wnuki-bliźnięta, które wyjechały z ojcem do Ameryki.

Po lewej stronie Drogi Dzików, od strony Jesówki, było zaledwie kilka domów, a na początku odmokły teren, sterta śmieci, kilka rachitycznych krzaków. Jak dziś pamiętam: pierwszy dom, w którym mieszkali Malarczykowie i Mikołajczykowie, dalej pani Czerska, w domu obłożonym supremą, nasz dom, potem dom Bulskich. Dalej mieszkał szewc Zwoliński i Zakrzewscy. Niektórzy dopiero się budowali: Maciejewscy, blacharz Szczepański. To byli wszyscy mieszkańcy aż do Granicznej, a na jej rogu mieszkał pan Siwek i gdzieś daleko Matulkowie i Plutowie i być może inni mieszkańcy, których nie pamiętam.

Po przeciwnej stronie był rozległy plac, porośnięty żarnowcami i marną roślinnością, tzw. pasternik, gdzie starsi chłopcy grali w piłkę. Z daleka widać było przedwojenny dom, w którym wynajmowali mieszkanie Fabiszewscy. Urszula, ich młodsza córka, dostała się do szkoły baletowej i została tancerką. Mówiono, że tańczyła we Wrocławskim Teatrze Pantomimy Henryka Tomaszewskiego. I choć nigdy już nie wróciła do Zalesia, to i tak byliśmy z niej bardzo dumni. Później w tym domu mieszkał Jerzy Robak z rodziną. Dalej mieszkała samotnie pani Bączkowska, która uczyła języka angielskiego. Tylko przy jej furtce był dzwonek. Nie byliśmy grzecznymi dziećmi, ciągaliliśmy za jego sznurek i uciekaliśmy zanim zdążyła wyjść na próg. Trochę dalej, między Piaseczyńską i Koralowych Dębów, mieszkał kolega, którego poznałam już w szkole, Marek Zacharski.

Cała ulica Dzików, piaszczysta, z wyjeżdżonymi przez wozy konne koleinami, należała do nas i była naszym placem zabaw. Rodzice nie przejmowali się nami, bo było bezpiecznie, z rzadka coś tamtędy przejeżdżało. Nikt w okolicy, nie miał ani motoru ani samochodu. Jedynym znanym mi z tamtych czasów motocyklem był ten, na którym doktor Dajkowski, w razie konieczności, przyjeżdżał do nas z Zalesia Dolnego.

Szkoła i drogi do niej

W 1957 roku poszłam do nowej wtedy szkoły, która mieściła się w budynku banku, siłą przejętego przez zdesperowanych rodziców, mieszkańców Zalesia. Ściany pachniały jeszcze świeżą farbą. Dyrektorem szkoły był pan Ludwik Rybak, a wychowawczynią pierwszej klasy – starsza pani, Maria Mazurkowska.



Nasza klasa mieściła się na dole, po prawej stronie długiego korytarza. Z lewej strony, pod schodami, był schowek pana woźnego, w którym trzymał ścierki, kredę i inne przybory. W ławkach były kałamarze, do których woźny wlewał atrament. Pisało się najpierw ołówkiem, a potem piórem ze stałówką, tzw. obsadką. Woźny obwieszczał przerwy, dzwoniąc wielkim dzwonkiem.

Pamiętam również tzw. starą szkołę, bo jeszcze

w grudniu 1956 roku pani Bulska zabrała mnie na noworoczną zabawę do szkoły, mieszczącej się wtedy w przedwojennym Kasynie zwanym Zalesianką. Może nie wszyscy wiedzą, że ten dom, stojący przy bazarku, to dla Zalesia historyczne miejsce. A dla mnie ten bal to był nie lada wydarzeniem, bo oprócz zabawy i oranżady, dostałam wtedy przepiękną czapkę krasnoludka z czerwonej krepiny, którą długo trzymałam na szafie.

Mój pierwszy rok szkolny zaczął się bardzo ciekawie. Jechałam na małym rowerku i w pewnej chwili na rogu Drogi Dzików i Koralowych Dębów zobaczyłam pod dębem zwinięte papierowe 10 złotych. Ucieszyłam się i pamiętam, że pomyślałam sobie, że to chyba jest znak, że może będę się dobrze uczyć. W szkole nosiliśmy granatowe fartuchy uszyte z taniej podszewki. Mama, krawcowa z zawodu, nie zawsze zdążyła uszyć mi nowy fartuch, więc przeważnie witałam rok szkolny w zniszczonym, przykrótkim fartuszkach. Książki i zeszyty nosiliśmy w tornistrach kiepskiej jakości, z brązowej, lakierowanej tektury. Ledwie rok wytrzymał, potem nosiłam szkolne rzeczy w starej, ojcowskiej teczce.

Nasz dom na ulicy Polnej

Gdy rozpoczęłam szkołę, mieszkaliśmy już wtedy we „właściwym” Zalesiu, na Domance, przy ulicy Polnej (obecnie, co ciekawe, ta ulica nazywa się Żytnia). Rodzice kupili niewiele wcześniej działkę, a dom w większości samodzielnie, ojciec budował, jedynie z pomocą mamy. W wakacje 1957 roku, pośpiesznie kładziono sufit z ackermanów. Były to lekkie, puste w środku, elementy ceramiczne. Wraz z 8-letnim sąsiadem, Wieśkiem Postkiem, wносиłam je po łagodnej pochylni z desek na wysokość pierwszego piętra. I tak powstał nieduży dom – 2 pokoje, kuchnia, miejsce na łazienkę. Pod koniec wakacji przeprowadziliśmy się do niewykończonego jeszcze domu. Wytynkowany był tylko jeden pokój i kuchnia. Pamiętam, jak mój dziadek, Bronisław Bojski z Budziszyna, przewiózł furą cały dobytek, a także małego prosiaczka, który był hodowany, wiadomo w jakim celu. Jakiś czas potem pojawił się śliczny, biały, przyjazny dzieciom, piesek Czarus.

Na Polnej nie byliśmy sami. Nasi sąsiedzi, tak jak ojciec, budowali swoje domy gospodarczym sposobem. Obok nas mieszkali Taraszewscy, Bednarkowie, Postkowie, a po przeciwnej stronie ulicy – Chmielewscy z Wardejnami, Cechowie i Piotr Osełka z żoną. Osełkowie i Postkowie byli rolnikami, w gospodarstwie trzymali krowy, konie, kury. Przez wiele lat braliśmy świeże mleko od pani Postkowej. Wszyscy dookoła hodowali kury i świnie. W ogródkach rosły pożyteczne rośliny, które nadawały się do jedzenia, a kwiaty były wysiewane z nasion, pozyskanych od sąsiadów i znajomych.

Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że było wtedy sielsko, blisko przyrody i to było zupełnie normalne, że dzieciaki znały gospodarskie zwierzęta, umiały nazwać drzewa i rośliny, rosnące w pobliżu. Do dziś pamiętam, dla nas wtedy bardzo śmieszne zdarzenie, kiedy przyjechała znajoma z Warszawy z kilkuletnim chłopczykiem. W czasie spaceru zobaczyli pasącego się cielaczka, mały zakrzyknął z zachwytem: „Mamo, popatrz, prawdziwe rolnictwo!”

Wszędzie chodziliśmy na przelaj, przez puste przestrzenie. Za naszą działką rosło żyto, w którym kwitły maki, chabry, fioleto- we kankole i białe rumianki. W maju pojawiały się brązowe zuczki, które łapaliśmy w garść, bo fajnie się roily, laskocząc zamkniętą dłoń. Z daleka widać było zabudowania Jesówki.

Do szkoły chodziłam na skróty, przez leszczynowe laski. Szło się Piaseczyńską, potem zarośniętym żarnowcami polem



Komunia święta

i laskiem do Złotej Jesieni, wówczas dróżki przez las, i znowu laskami, aż do Pionierów, albo leśną ścieżką, zaczynając się od Szumiącej Jodły i poprzez góry i doły, gdzie wydobywano piach, wychodziliśmy przy obecnym boisku. Do dziś widać efekt pofałdowanego terenu – działki przy Pionierów są położone na różnych wysokościach. Najprostsza droga wiodła ul. Koralowych Dębów wzdłuż której, rosło kilka rozłożystych dębów, pięknych okazów tego gatunku. Trudno było przejść koło nich obojętnie, bo zachęcały do wspinania się po gałęziach. Pod dębami było mnóstwo żołądzi. Jesienią była akcja, zbierania żołądzi, prowadzona przez szkołę. Zbieraliśmy więc te żołądki, odbierało je nadleśnictwo i miały z nich wyrosnąć nowe lasy.

Złot młodzieży

Z mojej ulicy wychodziłam na zatopioną w bzach i lipach gałązkę, którą bita droga z Piaseczna, omijała łukiem. Na początku lat 60., kiedy miał się odbyć zlot młodzieży ze Związku Młodzieży Socjalistycznej, miał przyjechać ktoś bardzo ważny na otwarcie. Wyprostowano więc jedyną utwardzoną drogę, tzw. kocie łby, przecinając w poprzek gospodarstwo leśniczego Płowika. Po jednej stronie została chałupa, a po drugiej – zabudowania gospodarcze. Pobudowano nową leśniczówkę po stronie zabudowań. Na rogu ulicy Piaseczyńskiej i Koralowych Dębów pozostała, na wiele lat, pusta przestrzeń. Obecnie jest to jedyny zadbany w Zalesiu skwer, na którym stoi figurka Matki Boskiej.

W tym czasie, koło kościoła, powstała ulica Złotowa, zmieniona w 70. rocznicę założenia Zalesia na ulicę Wisłockiego, współzałożyciela Zalesia. Wytyczono ją, podobno zabierając grunt prywatnym właścicielom. Wycięto las, chyba utwardzono i tak, raz-dwa, w socjalistycznym tempie, powstała ulica o dumnej nazwie Złotowa, łącząca ulicę Białej Brzozy i Sarenki. Po niej – według świadków – młodzież ćwiczyła marsze.

Zbiegło się to z otwarciem w 1961 roku Ośrodka Wczasów Świątecznych „Wisła”, który miał być miejscem wypoczynku warszawiaków. Zagospodarowano wtedy 96 hektarów lasu, pogłębiono stawy rybne. Pogłębianiem stawów zajmowało się przedsiębiorstwo budowlane „Dźwigar”, w którym pracował mój ojciec, jako operator maszyn ciężkich. Przez jakiś czas pracował tu na koparce, ciesząc się, że ma blisko do pracy.

Na terenie, zwanym przez nas „stawami”, wybudowano całą infrastrukturę, restaurację, amfiteatr i kilkadziesiąt domków kempingowych, rozsianych po ogrodzonym, leśnym terenie. To tam mieszkała socjalistyczna młodzież z warszawskiego złotu. Ale to już było nieco później.

Ulica Koralowych Dębów

Tymczasem przy ul. Koralowych Dębów domy były tylko z prawej strony.

Za mojej pamięci mieszkali tu: pani Pachnikowa, obok państwo Małecy, Czalczyńscy, Królaćkowie i Świetlikowie. Pan Świetlik prowadził sklep mięsny. Raz na tydzień przywoził tuszę prosiaka i on (albo pani Świetlikowa) rozbierali mięso na kawałki. Moja matka często wysyłała mnie do sklepu, a raczej na oczekiwanie na przywóz mięsa, jako że sama nie miała nigdy czasu i cierpliwości stać w kolejce. Nieco dalej była piekarnia pana Królikowskiego, która działała już w czasie wojny. W latach sześćdziesiątych kupił ją Tadeusz Jerzak. Za drewnianą ladą stała śliczna żona piekarza. Chleb i bułki paryskie układano na półkach. Rano przed szkołą biegłam po bułki i taką bułkę z masłem zabierałam do szkoły. Czasami mama pozwalała kupić pyszną, słodką bułkę za złotówkę – płaską z dołu, a na wierzchu posypaną obficie grubym cukrem. Później pan Jerzak wprowadził niebywałą nowość: kajzerki. Jeszcze ciepłe i chrupiące znikwały błyskawicznie z piekarni.

W piekarni sprzedawane były też okrągłe kilogramowe chleby. Chleb kosztował 3 złote. Mogłam mieć z sześć lat, kiedy z Dzików wybraliśmy się z chłopakami do piekarni. Na prośbę mamy kupiłam ten kilogramowy chleb, ale był dla mnie tak ciężki, że ledwie mogłam go donieść do domu. Przyciskałam go do siebie, żeby go tylko nie upuścić. Do sklepu chodziło się z własną torbą, a produkty owijane były, co najwyżej w papier, nierzadko w gazetę.

Za piekarnią mieszkał stolarz Sochański, a jeszcze dalej – dziadkowie starszego kolegi, Maćka Małeckiego – Czapscy. Babcia prowadziła mały sklepik warzywny i sprzedawała tam sezonowe warzywa i ziemniaki. Miała tam maszynkę, na której często gotowała zupę, czekając na klientów. Do dziś uwielbiam intensywny zapach selera, którym wypełniało się tamto pomieszczenie. Często tam bywałam, bo w tym domu mieszkała moja najlepsza koleżanka ze szkoły, Ania Bacher.

Dalej był zniszczony dom, gdzie wynajmowali mieszkanie rodzice Maćka Dymowskiego, innego starszego kolegi. Do dziś rosną u mnie maki, wyrwane z ogrodu przy tamtym domu. W Zalesiu było kilka takich drewnianych, zaniedbanych domów, które nieładnie nazywane były „pekinami”.

Do dziś na rogu Szumiącej Jodły i Koralowych Dębów stoi przedwojenny, elegancki dom. Jego właścicielami byli państwo

Tatarscy. Jako dziecko bardzo lubiłam przechodzić koło tego domu. Fascynowała mnie duża, zielona porcelanowa żaba, stojąca na jego tarasie. Uwielbiałam tę żabę. A jak się okazało – nie tylko ja. Po latach willę odremontowano i jest to jeden z nielicznych przykładów, kiedy udana rewitalizacja jeszcze poprawiła wygląd budynku. A żabę, podobno, stłukli robotnicy w czasie wcześniejszego remontu.

U zbiegu Poranku i Koralowych Dębów mieszkali państwo Rybiccy.

W późniejszych latach, ich córka, pani Jolanta Rybicka, uczyła w szkole geografii. Po przeciwnej stronie ulicy Koralowych Dębów pani Szafrńska hodowała nowalijki w inspektach. U niej, a także u pana Pedy, można było kupić już w maju sałatę, wycinaną wprost z grządki – ulubiony dodatek do niedzielnego obiadu.

Na rogu Złotej Jesieni i Koralowych Dębów, nad drzwiami przedwojennego domu (sąsiad, Grzegorz Fryszczyn, nazywa go „Willa Hanka”), widniał napis „Sklep kolonialny”. Słabo już widoczny napis, kojarzył się mi z latami dobrobytu, o których tylko czytałam w książkach. Dom był zasiedlony przez kilka rodzin. Miałam do niego jakiś sentyment, bo ojciec opowiadał, że ten dom, w latach pięćdziesiątych był do sprzedania i gdyby nie było wymiany pieniędzy w 1950 roku, to by go było stać kupić taki dom. Pewnie fantazjował, ale miło było patrzeć na ten ładny dom, w którym kiedyś sprzedawano pachnące egzotycznie goździkami i pomarańczami „towary kolonialne”.

Tam, gdzie dziś jest ośrodek zdrowia, był sklep spożywczy, tak zwana spółdzielnia, z wejściem po schodkach od Koralowych Dębów. Sprzedawała w nim pani Dąbrowska. Tam się zaopatrywaliśmy we wszystkie potrzebne towary. Pomieszczenie było ciasne i ciemne, ale sklep funkcjonował długie lata.

Kiedy byłam w pierwszej klasie, mama dała mi 10 zł, żebym kupiła sól. Widocznie pani Dąbrowskiej nie chciało się ważyć, bo wcisnęła mi worek z „resztką” soli za te całe 10 złotych. Sól kosztowała wówczas 90 groszy za kilogram, więc w worku było jej około 11 kilogramów. Przez wiele lat miałam o to żal do sprzedawczynie. Od sklepu do domu miałam prawie kilometr. Trochę niosłam, a trochę ciągnęłam po piachu ten papierowy wór z solą i jakoś dociągnęłam go do domu. Na szczęście, worek przetrzymał transport, a mama ze 2 lata używała sól, która przez ten czas zdążyła zamienić się w kamień od wilgoci.

Na placu, gdzie teraz jest targowisko, była zielona, wysoka, drewniana buda, w której sprzedawali państwo Stramkowie. Co tam było sprzedawane, nie bardzo pamiętam, ale pamiętam najważniejszą rzecz – stał tam szklany słój, a w słoju były kolo-

rowe cukierki na wagę. Pan Stramka skręcał papierowe różki i pakował w nie cukierki, po 2 złote za 10 deko. Najlepsze były białe o smaku migdałów. Ojciec, czasami po wypłacie, dawał nam pieniądze na taki zbytek, jak cukierki. W tym czasie chyba nie było więcej sklepów, a do lekarza i dentysty mieszkańcy Zalesia jeździli do Piaseczna, do przychodni przy cmentarzu.

Przy ulicy Pionierów, za Zalesianką, na placu, przy obecnym boisku, była ubita z desek platforma, z podwyższeniem dla muzyka, tzw. „dechy”. W letnie sobotnie wieczory, zbierali się mieszkańcy Zalesia i tańczyli. Zazwyczaj, przygrywał do tańca akordeonista. Była to jedyna, dostępna rozrywka. Czasami muzykował ten wuj, u którego mieszkaliśmy, samouk Jan Płatek. Widzę taki ciepły wieczór, niesie się muzyka, pary tańczą, a dzieciaki, zachwycone, przyglądają się.

Wspomnienie

Uwielbiałam chodzić do szkoły. Byłam w klasie razem z Anią Bacher, Joasią Borowską, Andrzejem Dąbrowskim, Krzysiem Gawrysiem, Markiem Zacharskim, Wieśkiem Celejewskim, Romkiem Orzechowskim, Elą Szczypior, Cześkiem Strzałkowskim, Jaśką Myszkowską. Rok wyżej byli Ala Płochocka, Maciek Małecki, Wiesiek Postek, Maciek Dymowski, Marek Lubański, Benek Pludra, a później Hania Jerzak – wszyscy z Domanki. Przez całą podstawówkę trzymaliśmy się razem, razem chodziliśmy do szkoły i z niej wracaliśmy, razem toczyliśmy wojny. Ze starszymi o rok kolegami przyjaźniliśmy się za czasów szkoły średniej. W szkole szybko nauczyłam się czytać i pisać – wtedy też weszłam w zaczarowany świat książek. Któż nie pamięta pierwszej, cudownej książki, czyli „Elementarza” Mariana Falskiego i pierwszego, wydukanego zdania: „Ala ma kota”? Kiedy zaprowadzono nas do biblioteki i zobaczyłam półki pełne książek, zamarzyła mi się taka biblioteka w domu, z której można by było nie wychodzić, tylko siedzieć i czytać. Dziś książki stoją w całym domu. W szkole po raz pierwszy zobaczyłam film i teatrzyk dla dzieci. Pierwszy raz uczyłam się śpiewać piękne pieśni doby socjalizmu, które ćwiczyliśmy na cotygodniowym apelu. Pierwszy raz dostałam liniijką „po łapach” i zostałam wyrzucona z lekcji za nazwanie pani Mazurkowej „starą małpą”, bo niesprawiedliwie oceniła mój rysunek. Za karę miałam przyjść z rodzicami do szkoły, ale ze strachu rozchorowałam się i leżałam w łóżku przez tydzień. Kiedy tak długo nie pojawiałam się w szkole, wystraszona nauczycielka wysłała listonoszkę, żeby sprawdziła, co się ze mną dzieje. Mimo tego zdarzenia, pierwszy rok skończyłam z nagrodą książkową.

W drugiej klasie przejęła nas młoda nauczycielka, pani Oleksiakowa, nasza wychowawczyni aż do siódmej klasy. Miała trzech małych synków i widocznie, rezolutna dziewczynka, wyzwałałam w niej matczyne uczucia. Od początku okazywała mi bardzo dużo sympatii.

Takie były początki mojego życia w Zalesiu, w którym wiele osób mnie знаło, gdyż wszystkim napotkanym osobom, známym i nieznanym, mówiłam grzecznie „dzień dobry”. Żartobliwie mogę powiedzieć, że ten trening przydał się nieco później, w pracy zawodowej, kiedy zostałam stewardesą, ciągle witającą się z nieznanymi pasażerami.

Taki świat, widziany oczami małego dziecka, wydaje się niezbyt ważny. Późniejsze szkolne, zawodowe i rodzinne życie przysłańia dzieciństwo. Jednakże, to ono zostało najlepiej zapamiętane i chętnie się wraca do niego w rozmowach i wspomnieniach.

Rozmawiała Nina Wierzbicka



Opowieść Ani (Antoniny) Królikowskiej

Całe życie moje i mojej rodziny było związane z Zalesiem. Moja babcia, Janina Smoczyńska, zachwyciła się Zalesiem, gdy pierwszy raz tu przyjechała. Wędrując tu po bezdrożach i wertepach potknęła się i przewróciła. Jeszcze leżąc na ziemi zawołała: „Tu chcę zamieszkać!”

I tak też się stało.

Babcia kupiła działkę na ulicy Jałowcowej (obecnie dom zakonny Sióstr Sercanek) i rozpoczęła budowę domu, w którym w 1939 roku zamieszkała wraz z córką Krystyną i wnukiem Markiem. Rodzina czas wojny i okupacji spędziła w tym domu. Ja zamieszkałam tam w 1948 roku.

Po wyzwoleniu (lata 1950-1953) moja mama, magister biologii, uczyła tego przedmiotu w zalesiańskiej szkole. Byłam wtedy małą dziewczynką, więc mama, gdy nie miała mnie z kim zostawić, zabierała mnie z sobą do szkoły. Kiedy skończyłam sześć lat, poszłam do pierwszej klasy tejże szkoły. Wielu „starych” Zalesian znam właśnie z tamtych lat. Z tamtych czasów (lata pięćdziesiąte) pamiętam dziewczęta ze szkoły im. Żmichowskiej, które przyjeżdżały tu jesienią lub wiosną. Pod koniec pobytu zawsze organizowały dla miejscowej ludności przedstawienia. Nie zapomnę „Balladyny” Słowackiego wystawianej w naturalnej leśnej scenerii.

W marcu 1954 roku wybuchł pożar, który strawił do szczętnie letni dom żmichowszczanek. Było to jedno



Chrzest dzieci Antoniny i Władysława Królikowskich z księdzem Fijałkowskim



Dom wybudowany przez Janinę Smoczyńską, obecnie sióstr Sercanek



Uczniowie Szkoły Podstawowej w Zalesiu Górnym z wychowawczynią Krystyną Buszkowską i kierownikiem Ludwikiem Rybakiem



Pierwsza Komunia Święta Antoniny Królikowskiej, ksiądz Prusiński – czerwiec 1956



Kościół drewniany budowany w 1936 św. Huberta, Janina Smoczyńska i Krystyna Buszkowska z synem Markiem, lato 1942, z tyłu Władysław Wierzyński i Przemysław Sobolewski

z najbardziej spektakularnych wydarzeń w naszej spokojnej miejscowości. Widziałam to na własne oczy. Wracałam właśnie ze szkoły, gdy zobaczyłam jak wśród zalegającego jeszcze śniegu płonie dom.

Strażacy zjechali z całej okolicy, a gdy zabrakło wody do gaszenia pożaru, podłączyli motopompę do szamba. Smród był okropny. Z całych zabudowań ocalał tylko budynek gospodarczy, w którym mieszkała rodzina dozorczy, i to od jego nazwiska miejsce to nazywane jest „Placem Duszczyka”.

Do dziś pozostało zagadką, co było przyczyną tak gwałtownego pożaru.

Wielu Zalesian pracowało lub uczyło się w Warszawie dojeżdżając pociągiem o 7:07. Maszynista prowadzący parowóz sprawdzał, czy wszyscy stali pasażerowie już wsiedli, a jeśli kogoś ważnego brakowało, pociąg na niego czekał.

W 1963 roku mama dostała pracę w Warszawie, ja chodziłam do liceum, więc wyprowadziliśmy się do Warszawy. W zalesiańskim domu zostały sercanki, a my spędzaliśmy tu lato i wszystkie wolne dni. Dom został sprzedany, ale my nie wyobrażaliśmy sobie życia bez Zalesia. Mama kupiła działkę od pana Wędrychowskiego i tam stanął nasz letni domek, jednak nasze życie nadal toczyło się głównie w Warszawie - nauka, później praca, życie rodzinne... Wszystko to sprawiało, że przyjeżdżaliśmy tu coraz rzadziej, nasz letni domek stawał się coraz mniej potrzebny, coraz mniej był wykorzystywany, aż w końcu w roku 1996 został sprzedany.

Jak to się stało, że dziś znów jestem Zalesianką? Muszę się cofnąć do mojego dzieciństwa.

W sąsiedztwie naszego pierwszego domu mieszkała rodzina państwa Sobolewskich, którzy pobudowali się w roku 1936. Jan Sobolewski był inżynierem i pracownikiem NBP. Jego hobby była snycerka. Drewniane elementy wystroju wnętrza starego kościoła w Zalesiu - to jego dzieło. Pan Sobolewski zmarł w 1977 roku. Jego żona, Lucyna, pracowała zaraz po wojnie na miejscowej poczcie, która wtedy znajdowała się na ulicy Słonecznej. Sobolewscy mieli syna Przemysława, który po śmierci matki w 1981 roku przeprowadził się wraz z żoną do domu rodzinnego w Zalesiu i tu zamieszkał. Był to czas stanu wojennego, posiadanie dwóch mieszkań groziło utratą jednego z nich, więc sprzedał warszawskie mieszkanie. Po śmierci żony w 2006 r. Przemysław został sam.

Moja rodzina przyjaźniła się z tymi sąsiadami przez wiele lat, a ja przywykłam traktować rodzinę Sobolewskich jak własną, dlatego gdy Przemysław po drugim udarze został całkiem sam, zaopiekowaliśmy się nim z mężem. Kiedy wymagał całodobowej opieki i nie wystarczały przyjazdy, nawet codzienne, przeprowadziliśmy się z mężem do Zalesia i zamieszkaliśmy z nim. Opiekowaliśmy się nim do końca, a gdy zmarł w 2012 roku wyremontowaliśmy zapisany nam przez niego dom i mieszkamy tu do dziś.

W ten sposób geografia mojego życia zaczyna się i kończy w Zalesiu.

Zdjęcia z archiwum prywatnego Antoniny Królikowskiej



Zalesianka - pensjonat państwa Wiśtockich przed wojną, szkoła podstawowa od roku 1950



Klasa I, rok 1953/54, przed Zalesianką, kierownik Ludwik Rybak, nauczycielki p. Oleksiakowa, p. Pazińska, p. Sadłowa



Klasa IV Antoniny w Zalesiu Górnym z kierownikiem Ludwikiem Rybakiem i panią Czyżewską



Uczniowie Szkoły Podstawowej w Zalesiu Górnym z wychowawczynią Krystyną Buszkowską i kierownikiem Ludwikiem Rybakiem

Wspomnienia Ani Żółkiewskiej

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku Zalesie Górne było atrakcyjnym miejscem wypoczynku dla mieszkańców Warszawy, zwłaszcza południowej jej części.

Moja przygoda z Zalesiem Górnym zaczęła się w 1958 roku. Przyjechałam tu spędzić ciepły letni dzień w Ośrodku Wisła. Z tego wyjazdu pamiętam stary wielki las, staw, po którym pływały kajaki, łódki i rowery wodne. Staw okalały stoiska ze słodyczami i napojami. Idąc od stacji kolejowej w stronę Ośrodka mijano się kilka małych drewnianych domków, które wydawały mi się ciemne i mało zachęcające do pobytu.

Po roku 1960 kilka razy przyjeżdżałam z moim mężem do Ośrodka Wypoczynkowego Narodowego Banku Polskiego.

Przyjazdy te były okazją do poznawania Zalesia. Chodziłiśmy „leśnymi drogami” Zalesia bo nawet nie ulicami, które jakby były przyczepione do drogi asfaltowej ulicy Pionierów. Dlaczego tak pamiętam te drogi? Zalesie jako wioska-osada wtłoczone było w las. Widziało się las a w nim ukryte, różniące się od siebie domy. Jedne okazałe, piętrowe, białe, szare domy zbudowane w latach 20-30 dwudziestego wieku, inne małutkie „bieda domki” budowane w PRL-u, które do dziś stoją przy ulicy Droga Dzików po stronie Jesówki. Uliczki te tonęły



Ania i Czesław Żółkiewscy



Dom w budowie



Ania i Czesław Żółkiewscy, Wojtek Kołaczkowski, dowódca dywizjonu 303, Zalesie Górne 1999

w błocie, dołach i wszelkich nierównościach rozjeżdżanych przez furmanki konne, traktory i samochody. Wszędzie ogarniał mnie przytłaczający las. Ulice w stronę Domanki kończyły się bagiennym jeziorkiem – dziś rośnie tam brzoza, młody zagajnik, a obok jest miejsce spotkań dla mieszkańców Zalesia i Domanki oraz Gajówka.

Boczne uliczki leśne dochodzące do ulicy Pionierów odbierałam jak konary drzew doczepione do pnia ulicy Pionierów z ukrytymi gdzieś w głębi lasu domami. Powoli przyzwyczailiśmy się do Zalesia i jego ukrytych uroków. Odkryliśmy mały sklepik spożywczy, następnie miejsce, w którym zjadaliśmy w prostokątnym wafelku lody o smaku waniliowym, cytrynowym.

W 1988 roku rodzina zdecydowała, że kupimy wspólną działkę właśnie w Zalesiu Górnym od strony Jesówki od pana Stanisława Olszewskiego. Bez większego entuzjazmu zaczęłam swoje zalesiańskie życie. Przyjeżdżając z Warszawy rozpoczęliśmy zabawę działkowicza nie myśląc o budowie domu. Do Zalesia najczęściej chodziłam pieszo z Zalesia Dolnego obok cmentarza w Jazgarzewie, przez piękną łąkę (własność kółka rolniczego), która wiosną pokrywała się kolorami kwiatów wiosenno-letnich, a jesienią stawała się podmokłą łąką.

Jakże inaczej wyglądało Zalesie Górne! - bez wygodnych, dobrych dróg, bez oświetlenia ulic, bez dojazdu do dworca kolejowego, bez stałego autobusowego połączenia z Piasecznem. Bez pięknych domów i ogrodów wokół nich!

Powoli nasza działka zmieniała się w ogród owocowo-warzywny, wymagający pracy i stałej obecności. Mój młodszy brat, który był inicjatorem kupienia wspólnej działki, zdecydował o budowie domu typu bliźniak. Nadzorował budowę i doprowadził do stanu surowego. Dokończył go, wyposażył nasz dorosły już syn. Był też pierwszym jego mieszkańcem. W 2002 roku syn z rodziną wyjechał do Warszawy, a ja z mężem zamieszkaliśmy w Zalesiu.

Jakże cenię sobie każdą ułożoną kostkę na ulicy Droga Dzików, każdy koszyk na śmieci, ławeczkę, świecącą latarnię – bo wiem jak trudno się to żyło, poruszało bez tych udogodnień. Szanujmy to, co otrzymaliśmy w darze pracy i zaangażowania naszych poprzedników. Zalesie nie byłoby tak piękne jak wygląda dziś. To była trudna wioska do życia.

Od niechcenia do polubienia

Pamiętam wieczór po bardzo męczącym dniu. Wyszłam z psem na spacer: - Lubię ten mój Ursynów - pomyślałam, ale jakby tak zamieszkać blisko Warszawy, mieć domek z ogrodem, ciszę, czyste powietrze pachnące maciejką... A do Warszawy przyjeżdżać, nie tylko do pracy. Pomarzyłam sobie troszkę i zapomniałam.

Podobno trzeba uważać, o czym się marzy, bo marzenia czasem się spełniają. Nawet, jeśli zmienisz zdanie i wcale już nie chcesz spełnienia tego marzenia, to prędzej czy później jakaś Tajemna Siła zacznie tobą rządzić – spotka cię niby przypadkiem z odpowiednią osobą, zorganizuje sytuację, która zmusi cię do podjęcia takich lub innych działań. Od tamtego wieczora minęło kilka miesięcy i się zaczęło.

Któregoś dnia mąż wrócił do domu i powiedział, że spotkał dawno niewidzianą koleżankę aktorkę, która buduje się w Zalesiu. To świetna okazja – mówił podekscytowany - porządna spółdzielnia, a tu w wieżowcu jest brudno, wyrostki palą papierosy na kłatkach, trochę nam ciasno, bo książek pełno.

- Chyba nie chcesz, żeby nasza córka tułała się po wynajętych mieszkaniach, jak my? – spytał prawie z wyrzutem i dodał: - Powinniśmy jej coś zostawić!

Żeby tułała się – nie chciałam, ale czy żeby zaraz dom? Skąd pieniądze? Ona sama chyba nawet o tym nie myślała. Była nastolatką, uczennicą warszawskiego liceum i miała inne priorytety.

Mimo mojej niechęci jednak przyjechaliśmy do Zalesia, żeby obejrzeć miejsce, gdzie powstawało osiedle. Plac budowy, tonął w błocie. Tu i ówdzie rysowały się już fundamenty i ściany.

Ciągle nie wiedziałam, czy tego chcę. Ale wspomniana „Tajemna Siła” kontynuowała spełnianie mojego krótkotrwałego marzenia. Znalazł się kupiec na mieszkanie, mama ucznia, któremu udzielałam korepetycji, pracowała w banku i bez problemu dostaliśmy kredyt. Wszystko mnie boli jak o tym wspominam. Kredyt okazał się drogi, doświadczenia w planowaniu wykończenia domu i egzekwowaniu odpowiedniego wykonania robót nie mieliśmy. Potem było już tylko trudniej, ale brnęliśmy dalej.

Pani, która kupiła mieszkanie, zażądała, aby opuścić je do końca miesiąca. A nie był to byle jaki miesiąc. To był grudzień. Dwa dni przed Wigilią w 1998 roku wylądowaliśmy przed wynajętym drewnianym domkiem w Zalesiu. Na szczęście meble zawieziono gdzie indziej, ale i tak mieliśmy ciężarówkę książek, rzeczy osobistych i dużego psa. Tego wieczora doczołgaliśmy się do łóżek, a kiedy rano wstałam, musiałam oburącz trzymać żuchwę, bo nie chciała stać w miejscu. Tak było zimno. Wigilię spędziliśmy przy kawowym stoliku, na którym w wazonie stało kil-

ka gałązek sosnowych, a dokoła stały nie rozpakowane jeszcze pudła. Skończyłam właśnie pięćdziesiąt lat i zamiast cieszyć się stabilizacją, rozwaliałam swoje uporządkowane życie, zapakowałam w kartonowe pudła i zadłużyłam się na dwadzieścia lat w banku.

Wcale tego nie chciałam! Nie chciałam! Nie rozumiałam, czemu to robię, ale robiłam.

Mijały tygodnie, przystosowaliśmy się do nowych warunków, a tymczasem rósł powoli nasz segmentowy domek. Do jeszcze nie całkiem wykończonego wprowadziliśmy się latem.

Nie było podłóg, betonowe schody na piętro były nierówne. Prąd mieliśmy ze skrzynki na słupie.

Dzień po dniu urządzaliśmy swoje gniazdko, jak umieliśmy. Gotowaliśmy na dwupalnikowej kuchence na gaz z butli, a gdy nadeszła jesień i zima ogrzewaliśmy dom drewnem, które paliliśmy we wkładzie kominkowym postawionym na ceglach.

Inni mieszkańcy też musieli sobie jakoś radzić i radzili. Życie towarzyskie na budowie kwitło. Spotykaliśmy się u kogoś w domu przy butelce wina, albo grilowaliśmy. Nie było płotów, bram i wysokich żywopłotów, jak teraz. Gadaliśmy o różnych rzeczach, dzieliliśmy się doświadczeniem. Często pomagaliśmy sobie, pożyczaliśmy narzędzia i inne rzeczy. Ta integracja czyniła nasze życie przyjemniejszym i bezpieczniejszym. Tak, bezpieczniejszym, bo zdarzały się na naszym osiedlu kradzieże. Złodzieje buszowali w nocy, dlatego mężczyźni zorganizowali dyżurne patrole. I pomogło. Kradzieże ustały. Zintegrowaliśmy się też w innej akcji, „autobusowej”. Zbieraliśmy podpisy pod prośbą o autobus z Zalesia Górnego do centrum Warszawy. Osobiście zawiozłam naszą prośbę do Ratusza. Ale Ratusz wykpił się brakiem taboru. Jednak autobus udało się załatwić z prywatną firmą Rojbus. Nie pamiętam szczegółów, ale mieli tu swój udział Krzysztof Wesołowski i Jan Siwek. Krzysztof – zalesianin od urodzenia, a Jan – warszawiak z Chmielnej, zalesianin z wyboru.

Ten duet pod pseudonimem „Wesoły Konik” (Wesołowski-Siwek) latem 2001 roku redagował gazetkę „Zalesie Górne



Tak było – ogród

Mądre i Bzdurne”, Wydawnictwo Podziemne - dla jednych przy... dla innych nie... przyjemne. Gazetka była jednostro-
nicowa i w wielkim skrócie donosiła o różnych zdarzeniach,
przyznając różnym osobom plusy lub minusy. Na przykład:

„PLUS dla Pani Dyrektor Gimnazjum za organizację, pro-
wadzenie, upiększanie i powiększanie (teren wokół budyn-
ku) szkoły. Upór, powołanie i oddanie. A gdzie naśladowcy?”

„Brylantowy PLUS z Gwiazdą otrzymuje z wszelkimi
honorami Pan dr Jerzy Buśko za to, że zawsze śpieszno mu
kochać ludzi, którym coś dolega. Zaczyna i kochany nasz Dok-
torze Oj Boli, za serce, za wiedzę, za kulturę osobistą, za te
wspaniałe cechy prawdziwego lekarza - WIELKIE DZIĘKI !”

„W jednym z poprzednich numerów przyznaliśmy MI-
NUSA tym, którzy nie potrafią załatwiać sąsiedzkich spraw
bez udziału straży miejskiej. Mieliliśmy na uwadze konkretną
osobę, ale litościwie nie ujawniliśmy, o kogo chodzi. Ponieważ
jednak ów ogólnikowy MINUS nie spełnił swojego zadania
i Pani Pieniaczka nadal działa sprowadzając mundurowych
na głowy nieszczęsnych sąsiadów, czynimy krok naprzód
i przyznajemy jej kolejny, tym razem już bardziej konkretny
MINUS. Wszystkich mieszkańców Zalesia przestrzegamy
przed panią na co dzień (oczywiście poza niedzielными wizy-
tami w kościele), występującą w pogniecionym tropikalnym
kapeluszu koloru khaki, poruszającą się z reguły na rowerze,
za którym bywa ciągnięty na smyczy nieszczęsny mały biały
piesek. Pańcia owa grasuje na ulicy Poranku (cztery wezwa-
nia straży miejskiej) oraz w sklepach na ulicy Koraliowych
Dębów i Pionierów, gdzie dokonuje zakupów. Jeżeli chcecie
mieć do czynienia ze strażą miejską, zróbcie coś, co się na-
szej anty-bohaterce w kapeluszu nie spodoba. A ponieważ jej
nic się nie podoba, na kontakt z mundurowymi macie duże
szanse. Oczekujemy na relacje. Nazwisko Pańci ujawnimy po
kolejnym donosie na bliższych lub dalszych sąsiadów”.

Krzysztof Wesołowski był dziennikarzem. Pracował w te-
lewizji dla „Pegaza”, dla telewizji nagrywał również reporta-
że. Był też pisarzem. Wydał kilka książek, w tym część pod
pseudonimem. Był radnym i społecznikiem. Nie przesadzę,
jak nazwę go stuprocentowym zalesianinem. Zmarł kilka
lat temu i wiele osób go jeszcze pamięta. Przyjaźnię się od

dawna z jego żoną Grażyną. To ona opowiedziała mi, jaką
wspaniałą matkę miał Krzysztof. Halina Wesołowska nale-
żała do pokolenia, które wyrosło w przedwojennej Polsce.
Pochodziła z rodziny inteligentkiej. Jej ojciec był majorem
Wojska Polskiego. Podczas wojny Halina Pikulska, bo tak
brzmiała jej panięskie nazwisko, mieszkała w Radomsku
i tam wstąpiła do AK. Po wojnie działała w podziemiu jako
łączniczka w oddziale kpt. Stanisława Sojczyńskiego, pseu-
donim „Warszyc”. Nawet będąc w ciąży, nadal dostarczała
rozkazy i dokumenty. W 1946 roku została aresztowana. Była
przesłuchiwana, ale się nie załamała. Dostała surowy wyrok.
W więzieniu urodziła pierwszego syna Tadeusza. Po amne-
stii zamieszkała i założyła rodzinę w Zalesiu Górnym. Jako
osoba z wyrokiem politycznym początkowo nie wszędzie
mogła podjąć pracę, ale zawsze była pomocna innym, życzli-
wa i uśmiechnięta. Pracowała w Urzędzie Stanu Cywilnego,
który wówczas był w Zalesiu. Udzielała ślubów. Pomagała
chętnie ludziom w różnych sprawach. Była życzliwa i pogod-
na. Kiedy w 1983 roku zmarła po długiej chorobie, na cmen-
tarzu żegnały ją tłumy.

W grudniu tego roku minie dwadzieścia jeden lat, jak
wyładowaliśmy przed drewnianym domkiem na Północnej
w Zalesiu. Sporo się wydarzyło. Córka skończyła studia i nie
została z nami. A dom ten miał być dla niej! Teraz wiem, skąd
moje „niechcenie”. Przeczucie?

Zajęta codziennymi dojazdami do pracy, późnymi powro-
tami do Zalesia i rozwiązywaniem różnych przyziemnych
problemów, nie miałam siły i czasu planować kolejnej rewo-
lucji w życiu. Może, gdybym była dwadzieścia lat młodsza?
Ale nie byłam. Więc żyłam po prostu, aż któregoś jesiennego
dnia zobaczyłam, jak piękne kolory mają liście na brzo-
zach, które nie wiadomo kiedy wyrosły pod niebo. Żółciły się na
tle wielkiego ciemnego świerka. I były moje! Szeleściły ma-
łymi listkami tylko dla mnie. Mogłam patrzeć i słuchać, ile
chciałam. Kiedy potem śnieg grubą warstwą przykrył krze-
wy w moim ogrodzie i ogrodach sąsiadów, poczułam się jak
w bajce. Poza takimi chwilami było oczywiście normalne,
prozaiczne życie. Po kilku latach moje „niechcenie” bardzo
wyblakło. Odnalazłam się w nowej sytuacji na tyle, że nawet
jak zagrałam w totolotka, nie planowałam
wyprowadzki z Zalesia.

Przez te dwadzieścia lat wiele się zmie-
niło. W Zalesiu i moim życiu. Przeszłam
na emeryturę. Dla mnie to była ogromna
zmiana, której się bałam. Nagle znalazłam
się poza ringiem, na którym boksowałam
się z życiem. Podróżowałam, ale tu był mój
dom i zauważyłam, że coraz chętniej do
niego wracałam.

Miałam szczęście, bo w Zalesiu trafi-
łam na dobrych i ciekawych ludzi. Klub
Seniora, gdzie dzieje się dużo ciekawych
rzeczy, rowerowe i piesze wycieczki z ko-
leżankami, spotkania przy kawie i nie tyl-
ko. Poczułam się otoczona przyjaźnią – nie
nachalną, ale ciepłą i jasną. Tak zaczęło się
„lubienie”.

Wiodę teraz spokojne i wcale nie nudne
życie. Mam poczucie wolności. Jest mi tu
dobrze. Taka była moja droga „od niechce-
nia do polubienia Zalesia”.

Tekst i zdjęcia
Ela Nowińska



Tak jest

Moje Zalesie

Odkąd pamiętam, mówiło się, że „trzeba pojechać do Zalesia, zobaczyć, co się tam dzieje”. A zrobić to można było w jeden jedyny sposób. Wsiąść z moją Mamą w naszą czarno-szarą ifę f8 i drogą przez Żabieniec dojechać po kocich łbach do ul. Pionierów.

Były lata 60. ubiegłego stulecia. Domów wokół było niewiele, działka wyglądała jak las, zarośnięta żarnowcem i jeżynami, wśród których biegły ścieżki, a którymi mieszkańcy skracali sobie drogę do stacji, szkoły i do nielicznych sklepów. Zalesie Górne zawsze kojarzyło mi się z rajdami i wyprawami harcerskimi z Hufca Mokotów.

W domu co jakiś czas, mówiło się że „trzeba coś z tym Zalesiem zrobić”. Pomysły może i były, ale nie było pieniędzy. Tym niemniej opłacało się tak zwaną spółkę wodną i co roku wpłacaliśmy datkę na ogrodzenie wokół kościoła św. Huberta (zastanawiam się teraz, przechodząc obok kościoła, które to przesła płotu powstały z tych datków).

A wszystko zaczęło się jeszcze w latach trzydziestych ubiegłego wieku, kiedy to powstała idea zakładania wokół Warszawy miast-ogrodów. Założenia były takie, żeby działki i do-

my znajdowały się w lesie, ingerencja w środowisko była jak najmniejsza, by nie zaburzyć leśnego charakteru miejscowości. Działki powinny mieć powierzchnię 1500, najwyżej 2000 metrów kwadratowych. Ulice miały być szerokie, a Zalesie – mieć dobrą komunikację ze stolicą.

Jan Witold Wisłocki, współwłaściciel gruntów w otulinie Lasów Chojnowskich, podzielił tereny na działki letniskowe i rozpoczął ich sprzedaż. Pomyślał również o tym, żeby mieszcuchy warszawskie mogły bez problemu docierać do swych działek. Kiedy budowano trację kolejową Warszawa-Radom, pan Wisłocki zaproponował dyrekcji budowy, by kolej przechodziła przez nowopowstające letnisko. Postawiono mu jeden warunek – ma być budynek stacyjny i peron. Pan Wisłocki z własnej kieszeni wyłożył pieniądze na obie budowy i 25 listopada 1934 roku zatrzymał się tu pierwszy pociąg.

Na stacyjce w Zalesiu Górnym zatrzymał się również specjalny pociąg, który w maju 1935 r. wiozł trumnę z Marszałkiem Józefem Piłsudskim. To była także zasługa pana Witolda Wisłockiego.

Gdy już dojazd ze stolicy stał się łatwiejszy, ruszyła sprzedaż działek. I wtedy mój dziadek Franciszek Doleżał, wiceminister Przemysłu i Handlu, namówiony przez pana Wisłockiego, z którym dobrze się znał, został wraz z żoną Marią, właścicielem działki położonej przy głównej ulicy. Tutaj miały powstawać okazałe wille i domy murowane tak, by dawały świadectwo zamożności właścicieli.



10 Maria Doleżał z Bobikiem



Franciszek Doleżał z Bobikiem



Lena Doleżałówna z koleżanką



Lena Doleżałówna

Jako wzór powstała willa państwa Wisłockich przy skrzyżowaniu ulicy Pionierów i Wiekowej Sosny. Nieco skromniej zarabiający, mieli budować domy letniskowe z werandami, zaprojektowane przez znanych architektów. Dla letników powstało Kasyno, pensjonat z restauracją, by zapewnić letnikom i rozrywkę, i wyżywienie, i spanie. Restauracja słynęła ze wspianego jedzenia, o którym opowiadała moja Mama. Osobą, która tak wspianale gotowała była pani Halina Bączkowska.

Do dziś można jeszcze spotkać porozrzucane wśród starodrzewia, letniskowe drewniane domki z tamtych lat, albo wersje nowocześniejsze, dobudowane do starszej wersji. Letnicy odwiedzali się nawzajem, spacerowali, jesienią zbierali grzyby, życie towarzyskie zalesian kwitło. Niektórzy tak, jak moi dziadkowie, przyjeżdżali tu do Kasyna na obiad lub na spotkanie z państwem Wisłockimi.

Moja Mama była wtedy w wieku ich córek i z nimi spędzała czas. Na naszej rodzinnej działce nic się nie działo, bo Dziadek już przeczuwając rychły wybuch wojny, niezbyt był zainteresowany budową domu. Moja Mama wraz z Babcią przyjeżdżały do Zalesia na krótkie wakacje i właśnie w Kasynie wynajmowały pokój. To tu nastoletnia Mama spędziła swoje ostatnie bez troski wakacje, w sierpniu 1939 r. Właśnie wtedy bliżej poznała obie panienki Wisłockie Marysię i Zosię. Dziadek już wiedział, że wojna jest nieunikniona.

Wysyłając żonę i najmłodszą córkę na letnisko chciał, by były jak najbliżej stolicy i by w razie potrzeby szybko mogły do niej wrócić. 29 sierpnia służbowy samochód zabrał je obie z Zalesia do warszawskiego domu przy Noakowskiego 12.

Po wojnie działka sobie zarastała: drzewami, krzewami, leszczyną żarnowcem i jeżynami. Znikały niektóre drzewa (trzeba było czymś palić w piecach), rosła góra śmieci usypiana przez sąsiadów, ścieżki powoli zniknęły, bo mieszkańcy zaczęli się grodzić i tak zwanych skrótów już nie było.

Przyjeżdżaliśmy tu co jakiś czas na majówki, na spacer po Lasach Chojnowskich. Powoli dojrzewaliśmy do tego, by zbudować dom i tu się osiedlić. I udało się. 11 lipca 2011 wprowadziliśmy się tu z moją Mamą. Co pewien czas, z kolejnym już psem, spotykaliśmy panią Zofię Wisłocką. Obie panie kłaniały się i uśmiechały do siebie.

Jestem zalesianką od 11 lipca 2011 roku, ale zalesiańska historia mojej rodziny sięga głęboko w ubiegłe stulecie. A wprowadziliśmy się z przytupem, a tak naprawdę z wichurą, która tego dnia przeszła nad Zalesiem łamiąc drzewa i wyrывая je z korzeniami. Znalazłam tu wspianych ludzi, z którymi jest mi bardzo dobrze i nie żałuję, że opuściłam „stolicę”.

Nina Wierzbicka

zdjęcia: archiwum rodzinne

Pierwsze spotkanie

– Chcę gdzieś wyjechać – powiedziała Mama. Miałam szesnaście lat i od śmierci Ojca byliśmy tylko we dwie. Ona zapewniała nam byt, a do mnie należała szeroko rozumiana logistyka.

Mama była damą, więc jeśli już coś mówiła to miało to głębszy sens. Zrozumiałam, że do mnie należy zorganizowanie jej tego wyjazdu. Ustaliliśmy pryncypia:

- ma być niedaleko, żeby mogła raz w tygodniu zaglądać do domu (godzina drogi, mniej więcej)
- połączenie koniecznie kolejowe
- miły i niekrępujący pokój
- dobre obiady w pobliżu
- ciekawe okoliczności przyrody
- miejsce spacerowe – asfalt lub trotuar.



Mama Ewy Kamińskiej



Ewa

– kawodajnia z czymś dobrym mile widziana

Zaczęłam od mapy Warszawy i okolic. Odpadał kierunek otwocki i legionowski – były wyeksploatowane, Milanówek też, bo WKD to nie jest kolej, tylko ciuchcia.

To tyle, jeśli chodzi o eliminowanie.

Praca koncepcyjna najlepiej wychodzi mi w ruchu – uznałam i poszłam na dworzec. Padło na Główny, bo miałam coś do załatwienia w pobliżu. Właśnie zapowiedziano odjazd pociągu do Czachówka. Nazwa nic mi nie mówiła, ale kierunek południowy był obiecujący (słońce, palmy i te rzeczy). Od stacji Jeziorki wysiadałam przykładowo na każdym przystanku z wyjątkiem Piaseczna (było wtedy zdecydowanie obskurne) prowadząc poszukiwania i wypytując życzliwych skądinąd ludzi.

Gdy wysiadłam w Zalesiu, byłam już głodna i zniechęcona. A tu z peronu zobaczyłam małą, drewnianą cha-

tynkę z napisem „Biedronka” i stolikami wyraźnie zapraszającą głodnych i znużonych. Coś dla mnie! Zbiegłam z peronu, zamówiłam kawę i poziomki w śmietanie i zaczęłam wypytywać obecnych. Dowiedziałam się, że obok, na początku Jesionowej, jest pensjonat – wielce ekskluzywny i oferujący smakowite jedzonko, a po drugiej stronie torów – dom czasowy bankowy, też nie gorszy. Zaczęłam od tego, co bliżej, od pensjonatu. Sympatyczna właścicielka z żalem powiedziała, że w interesującym mnie terminie ma wszystko zajęte, ale obiady można u niej zjeść.



Ewa

Podala mi trzy miejsca dość niedaleko, gdzie można się zakwaterować. Pobiegałam kawalek dalej i na Jesionowej, naprzeciwko Klonowej, znalazłam pokój z łazienką u przemilego małżeństwa leśniczych. Od razu zadatkowałam. Sprawdziłam wybrukowany deptaczek (od stacji do Ośrodka Wisła) i osiadłam na laurach.

Mama trenowała ten układ (kwatery plus obiady) jeszcze dwukrotnie w następnych latach, a potem nabyliśmy małżeńki domek w tym miejscu, gdzie mieszkam teraz.

Ewa Kamińska

To już trzecie wydanie Historii Odnalezionych. Pragniemy przypomnieć sylwetki naszych redakcyjnych koleżanek: Ani Antczak i Basi Gayny. Nie doczekały wydania tej edycji, a były razem z nami w poprzednich – wyszukiwały materiały i zdjęcia, prowadziły rozmowy z ciekawymi ludźmi, redagowały teksty, przygotowywały plansze.

Bardzo nam ich brakuje.

Zespół Redakcyjny